



Witold Grzybowski

część II z V

Sygnatura notacji: **N0147**

Data urodzenia: **04.04.1928 r.**

Data nagrania: **29.09.2022 r.**

Miejsce nagrania: **Centrala IPN, Warszawa, Polska**

Prowadzący rozmowę: **Szymon Nowak**

Czas nagrania: **część I: 58 min, część II: 51 min, część III: 58 min,**

Format nagrania: **video** **część IV: 44 min, część V: 36 min**

Język nagrania: **polski**



TRANSKRYPCJA



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ

[00:00:00 POCZĄTEK NAGRANIA]

Witold Grzybowski: Około 20 000 ludzi wywieźli do roboty w Niemczech. Część tych żołnierzy polskiego oddziału partyzanckiego, którym udało się wymknąć i przeszli do domu, rozebrali się i byli jako cywile, część z nich też wywieziono na roboty do Niemiec w ramach tych 20 000. A Sowietci uciekli z tej Puszczy Nalibockiej gdzieś tam w inne lasy, jakoś ocalili. Po 3 tygodniach zakończyła się akcja „Hermann”, to jest ta przeciwpartyzancka impreza niemiecka. Niemcy się wycofali. Polacy – znowu ten oddział zaczyna żyć. Stopniowo ci ludzie przychodzili, wracali z powrotem do oddziału. To był sierpień, bo to tam od połowy lipca do 8 chyba sierpnia była ta akcja niemiecka. W drugiej połowie sierpnia już zaczynali się nasi zbierać. Na początku września było ich około 400. Tam było paru oficerów. Ale Komenda Główna zdecydowała jeszcze przysłać następnych. I na początku września przysłała 3 oficerów, wśród których jeden był istotny, o którym trochę więcej wiem i powiem. To był Adolf Pilch. Miał wtedy pseudonim „Góra” albo „Pistolet”. Takie dwa pseudonimy miał. I kierownik tego rejonu konspiracyjnego, który znajdował się... w Stołpcach, podjął decyzję, że mianuje por. Pilcha dowódcą tego oddziału. A Pilch mu mówi tak: „Ja nie znam rosyjskiego, nie znam białoruskiego, nie znam zwyczajów tutejszych, nie mam pojęcia o walce partyzanckiej, nigdy nie dowodziłem oddziałem większym niż pluton, więc nie bardzo mogę się podjąć stanowiska dowódcy tego oddziału, bo tu jest około 400 ludzi”. Ale tamten wciąż nalegał, żeby on został dowódcą. Więc... „Góra” w końcu zdecydował, że będzie pełnił obowiązki dowódcy oddziału do czasu aż przysłą bardziej na to stanowisko przygotowanego oficera. No, i to trwało. Mieli kontakty z partyzantami sowieckimi. Pokojowe, przyjazne. Tamci, nasi mieli odbiornik radiowy, więc Sowietci przychodzili, żeby posłuchać nagrań jakichś, to z Moskwy, z Londynu, z Berlina. I było wszystko dobrze. Ale mówiłem też... Co się działo – to rozbięcie garnizonu to było 19 czerwca, a mówiłem wcześniej, że w Moskwie 22 czerwca było posiedzenie tego Komitetu Komunistycznej Partii Białorusi, które podjęło decyzję o wszelkiej walce

z polskimi grupami narodowościowymi. Czyli to było 3 dni po rozbiciu tego garnizonu. Rosjanie tam potem – wiemy, w tej chwili już wiemy, że złożyli jakieś tam meldunki do Moskwy swoje, czy prawdziwe, czy całkiem prawdziwe, nie wiemy. Ale zameldowali o tym. Z polskimi partyzantami Sowietci żyli na razie w zgodzie. Nawet parę akcji, które Polacy robili, wspólnie z Rosjanami zrobili, z Sowietami. To trudno mówić Rosjanie, bo tam byli i Białorusini, Ukraińcy, nie tylko Rosjanie, tam byli różni, i Kałmucy, jacyś tam tego, dlatego wolę mówić Sowietci. Tak. Żyli i działali. Polacy wykonali ponad 40 różnych akcji takich nękających Niemców. Niektóre to były tylko po prostu rozbicie mleczarni czy zabranie jakiegoś tam transportu żywności czy czegoś, żeby dokuczać im. Rozbicie posterunku białoruskiej policji. I tak to trwało. W zgodzie, wszystko było dobrze. Na początku listopada do oddziału przyszedł major Wacław Pełka – ten starszy oficer, który miał objąć dowództwo. I „Góra” przekazał mu to dowództwo. On dalej został dowódcą. Niestety w stosunkach z partyzantką sowiecką nie bardzo sobie jakoś radził, nie bardzo umiał, był w stosunku do tej... do postępowania z nimi był krytykowany przez Polaków. Nawet potrafił przyjąć i przytrzymać strzemie oficerowi sowieckiemu, jak tamten wsiadał na konia. Takie służalcze było to. No ale jeszcze istnieli. 11 listopada Polacy sobie zrobili Święto Niepodległości, zaprosili, iluś tych sowieckich żołnierzy tam do nich przyszło. Nie byli zadowoleni z tego, bo przecież to jest, tutaj to jest ich państwo, a nie Polska. Bo oni nie dopuszczali tego, że tam kiedykolwiek Polska wróci. Polacy mogli sobie tak myśleć. Aczkolwiek wiedzieli o układzie Sikorski-Majski. Ale niestety ten układ nie zawierał żadnych postanowień dotyczących granicy powojennej. I Sowietci to sobie zatrzymali i wykorzystali. W każdym razie od czasu, jak zapanował tutaj mjr Pełka, pseudonim „Wacław”, te stosunki się pogorszyły trochę. Ale wrócimy się troszeczkę wcześniej do bodajże 24 sierpnia poza obszar powiatu stołpeckiego. sięgniemy sobie pod jezioro Narocz. Piękne jezioro. Tam działał polski oddział partyzancki pod dowództwem „Kmicica”. Jak on miał na nazwisko, nie pamiętam. Około 300 ludzi miał „Kmicic”. Żył w dobrych stosunkach z partyzantką sowiecką. Rozmawiali ze sobą, bywali u siebie, wszystko było dobrze. I któregoś dnia, 24 sierpnia, bodajże major, ten dowódca oddziału sowieckiego, zaprasza „Kmicica” do siebie na naradę czy na obiad. W każdym razie zaprasza. Ten jedzie, ponieważ nie pierwszy raz już tam był u nich. Pojechał. Rozbroili go, zatrzymali, aresztowali i zabili potem. Z obozu tych 300 żołnierzy polskich 80 od razu rozstrzelali. Po jakimś czasie próbowali tam wykorzystać tych pozostałych. I znowu, kilkudziesięciu znowu zabili. Tą resztkę, która została z tego oddziału „Kmicica”, przejął znany ogólnie „Łupaszka”. I wcale się nie dziwimy, że „Łupaszka” nienawidził Sowietów i walczył z nimi, no bo tak oni potraktowali „Kmicica”. Zbliża się zima, nasi... listopad jest, przyszedł Pełka. Nasi organizują sobie zimowisko w Puszczy Nalibockiej. Niedaleko jeziora Kromań. Budują sobie jakieś baraki, ziemianki, coś, żeby przetrzymać zimę. W ostatnim dniu listopada przychodzi goniec sowiecki i przynosi zaproszenie, żeby wszyscy oficerowie polscy przyjechali do obozu sowieckiego. Nie było wszystkich oficerów w obozie, więc odpowiadają: „No niestety, mamy teraz kilku poza obozem, nie możemy wszyscy przyjechać, ale jutro rano możemy. Oni wrócą w nocy, rano pojedziemy”. „A dobrze, dobrze może być rano”. No i pojechali. Zebrało się 11 oficerów, 11 takich, którzy się opiekowali potem końmi żołnierzy. Nie pojechał „Góra”. On jeszcze wtedy podobno nie miał munduru. Ale pada: „Jedzie jedenastu, to po co ja tam pojedę? Wystarczy”. Został w obozie. Po krótkim czasie widzi, że z obozu sowieckiego jedzie jakaś grupa wojskowych. Przyjeżdża podporucznik Kacper Miłaszewski, ten pierwszy organizator w ogóle tego oddziału, który doskonale znał rosyjski, miał dobre układy z Rosjanami, wszystko tego załatwiał. Nawet wtedy, kiedy trzeba było znaleźć nazwę dla polskiego oddziału, rozmawiali: „No będzie się nazywał Polski Oddział Partyzancki im. Feliksa Dzierżyńskiego”. Polacy mówią, tam ich było chyba paru, nie wiem. Mówią: „Nie, Dzierżyński to nie”. „No to Wanda Wasilewska”. „Nie, Wanda Wasilewska nie”. „No to Tadeusz Kościuszko”. „No dobrze, może być”. I został

Polski Oddział Partyzancki im. Tadeusza Kościuszki. Tenże właśnie Miłaszewski przyjeżdża z olbrzymią ilością żołnierzy sowieckich. Rozbrojony już. I poleca się rozbroić wszystkim. Oni mówią: „Jak któryś strzeli albo nie złoży broni, to my zaczniemy, my od niego zaczniemy, zabijemy go”. No więc nasi się poddali, bo znakomicie więcej było tych sowieckich żołnierzy. Rozbroili, aresztowali. Z tego, co dzisiaj wiemy, to tych jedenastu oficerów i jednego, który był odpowiedzialny za wywiad w oddziale polskim. Zapomniałem jego nazwisko. Jego zamęczyli pierwszego dnia, torturowali go, zamęczyli go w Puszczy. Zostało dziesięciu. Pięciu z tej dziesiątki na początku stycznia samolotem wysłano do Moskwy. Tam w Moskwie byli sądzeni, aresztowani, byli, siedzieli tam gdzieś w więzieniu czy w obozie. W 48 roku wrócili do Polski. Między innymi był tam i Miłaszewski. Pozostałych tych pięciu, którzy zostali jeszcze w Puszczy, byli sądzeni w Puszczy. Żaden z nich się nie odnalazł. Nie ma śladu, że zabici byli, ale nikt nie wrócił z nich. Ja mam nawet – taki zapis ich był z posiedzenia tego ich lokalnego sądu, że ich wszystkich trzeba zabić, bo oni będą walczyli z Armią Sowiecką, broniąc granicy Polsko-sowieckiej tej przedwojennej. Ponieważ obok tego głównego baraku, gdzie była większość oddziału, był jeszcze dalej fragment drugiej kompanii i około 20 żołnierzy, którzy przyszliz z Mołodeczna. „To zawołajcie tamtych jeszcze”. No więc jeden z tych żołnierzy pada: „To ja pójdę”, już bez broni, rozbrojony, „To ja pójdę”. I do niego dołączył „Góra”. Pada: „To ja z tobą pójdę”. I poszli razem. Jak doszli tam kawałeczek dalej, już było, powiedzieli tamtym, o co chodzi. Tamtych było za mało, żeby podjąć walkę. Zaczęli uciekać. No i uciekali. Mróz, bagna. Lód za słaby. Wpadali do tej zimnej wody. Wyszli. Wyszli jakoś. Nie wiem, czy następnego dnia, czy po dwóch dniach spotkali się z tym konnym oddziałem, którym dowodził Nurkiewicz, którzy byli poza obozem tym i stworzyli grupę, która zaczynała uciekać przed Sowietami. Ale uciekając, jednocześnie spotykała małe grupy sowieckich partyzantów, z którymi walczyli i wygrywali. Ale w końcu amunicja im się kończyła. Byli już blisko Rakowa. Policja z Rakowa dała im skrzynkę amunicji. W międzyczasie jeden rozbity ten oddziałek sowiecki, lejtnant miał rozkaz dotyczący tego rozbrojenia polskiego oddziału. To przejęli. Puścili, Polacy puścili tego lejtnanta. Sowietci rozstrzelali potem. Tak, bo on dał ten rozkaz, a to było niedozwolone. I od 1 grudnia rozpoczęła się niewypowiedziana wojna partyzantki sowieckiej z partyzantką polską. Polaków było... Ci co uciekli tutaj z tej piechoty i ta kawaleria połączyli się, było około 60. I co mają zrobić? W puszczy nie mogą być, bo tam Rosjanie ich wykończą. Do miasteczka nie pójdą, bo w miasteczku są Niemcy. We wsi też mają dostęp Niemcy. Co zrobić? Zrezygnować? No, to przecież też ich wyłuskają po kolei i zabiją. Nie wiem, jakim cudem się stało, że przez jakiegoś sołtysa został nawiązany kontakt z żandarmami w Iwińcu, tym rozbitym parę miesięcy wcześniej przez Polaków Iwińcu, w tym garnizonie. Niemcy proponują, że: „Zamieszkajcie w sąsiednich wsiach, to my będziemy bezpieczniejsi. My wam damy trochę amunicji, damy wam broń, i wy też będziecie bezpieczniejsi. No już z jednej strony nie będą, przez Niemców nie będą atakowani. No i w końcu „Góra” podjął decyzję, że zgadza się z tym. Nie, nie napisane to jest. Nie jest nigdzie tego, ale dogadane jakoś takie porozumienie. No i cały czas trwa walka partyzantki polsko-sowieckiej, no i zawieszenie broni z Niemcami. Nasi od Niemców kupowali broń, dawali im a to słoninę, a to masło, a to coś tam jeszcze dostarczali Niemcom i kupowali broń, kupowali amunicję, i amunicję niemiecką, i amunicję sowiecką. W czasie tej wojny sowiecko-polskiej partyzantki Polaków zginęło ponad 100 i jeszcze około 50 zamordowanych przez Rosjan, aresztowanych gdzieś we wsiach. Ale tak, jak podaje „Góra”, zginęło ok. 600 partyzantów sowieckich. Bo oni, z ich walecznością jednak coś jest nie tak. Nie umieli tak walczyć, jak trzeba. Były jakieś rozmowy jeszcze z partyzantką sowiecką na temat uzgodnienia, gdzie mają się te oddziały sowieckie i polskie zaopatrywać. Więc było, że nie mogą się zaopatrywać w bezpośrednim otoczeniu puszczy, tylko dalej, bo w razie czego, jakby Niemcy znowu zrobili akcję przeciwpartyzancką, to oni się do puszczy schowają i tutaj z pobliza puszczy będą

mogli jeszcze coś zdobyć. No i dogadali się, że dobrze. I dogadali się, że jeżeli którzyś będą postępować niewłaściwie, to ci co ich złapią, do ich dowództwa ich doprowadzą. I było parę takich przypadków, kiedy Polacy złapali w jakiejś wsi Sowietów, oddawali ich, rozbrajali, zabierali to, co oni, oddawali gospodarzom. A ich oddawali tamtym do ukarania. Kiedyś zdarzyło się, że w jakiejś wsi przyszło chyba 12. Zaczęli grabić. Chłopi donieśli Polakom. Polacy przyszli, aresztowali tych 12. I mieli ich zaprowadzić rozbrojonych do Sowietów. No ale jakoś się złożyło tak, że oni do Sowietów nie dotarli, że oni zginęli. Powołano komisję, dwustronną komisję. Szukali, gdzie oni zginęli, co się z nimi stało. Nie znaleźli ani miejsca, gdzie oni zostali zabici czy nie zabici. Nie ma śladu. No, niemniej jednak uznali to za podstawę, żeby rozbroić polski oddział. A podstawą było przecież to postanowienie komitetu z Moskwy z 23 czerwca. I taka sytuacja trwała, trwała, trwała. W 1944 roku, bodajże 24 czerwca, rozpoczęła się wielka ofensywa sowiecka pod kryptonimem „Bagration”. Zaczęła się daleko poza Smoleńskiem i szybko posuwała się na zachód. Kiedy oni byli już blisko Mińska, dowództwo partyzantki polskiej stanęło przed problemem: Co zrobić? Jeżeli wojska sowieckie ogarną oddział, na pewno wszystkich zabiją. To było niewątpliwie pewne. Zdecydowali, że odejdą na zachód. Zresztą, postanowienia Komendy Głównej Armii Krajowej były, że jeżeli jakieś tam oddziały polskie miały zatargi z Sowietami, to w ramach [akcji] „Burzy”, która wtedy już obowiązywała, mają się wycofać. No więc wycofali się. Przez miesiąc czasu... Zaczęli się wycofywać 29 czerwca. Dzisiaj jest dokładna rocznica. 78. rocznica. I tutaj pojawia się w tej chwili ja. Kiedy Niemcy przyszli, nas, że tak powiem, dali nam mieszkanie w miejscowości Michałów, 6 kilometrów od Rakowa. A ojciec dostał pracę w leśnictwie. Tam były obmiary drewna, poręby, jakieś coś. Wyprowadziliśmy się do tego Michałowa. Przypuszczam, że to była połowa lipca. I tam mieszkaliśmy. Ja bardzo lubiłem rąbać drzewo i rąbałem, a poza tym miałem jeszcze następne zajęcie, pasienie krowy. Ja nie powiedziałem wcześniej, że kiedy Sowieci weszli do Polski, myśmy mieszkali w majątku Pomorszczyzna. Majątek Pomorszczyzna miał około 100 krów i miał ileś tam rodzin, nie wiem, czy 20 czy 30 rodzin było – pracowników tego majątku. Każda rodzina dostała krowę i między innymi krowę myśmy dostali. I ta krowa za nami przejechała, przeszła najpierw do Rakowa, a potem do Michałowa. I ja miałem zajęcie – pasienie krowy. Cały 1941 r., do końca roku, 1942, 1943 i początek 1944. W Wielki Czwartek w 1943 roku odwiedzili nas partyzanci sowieccy, tak jak odwiedzali wiele innych domów i wsi. Przyszli, ciemno w nocy, obrobili mieszkanie dokładnie, zabrali wszystko, co mogli. Mnie już prowadzili pod ścianę, wyprowadzał z domu pod ścianę, żeby mnie zastrzelić, bo ja im nie chciałem dać butów, których nie miałem. I tak po drodze, idąc, mama zauważyła – znała rosyjski, powiada do tego dowódcy, że malczyk [ros. chłopiec] nie ma butów. On popatrzył na mnie. Miałem 15 lat, chłopak. „No broś” [ros], zostaw. No i ocalałem. Butów nie miałem, ale ocalałem. Drugi raz przyszli po 3 miesiącach. Znowu inna jakaś grupa przyszła. Noc, ciemno. Koło mojego łóżka, na którym spałem, stała szafa ubraniowa. Ubrania nie było. No, myśmy część rzeczy takich lepszych zostawili w Rakowie. Tam zostało. Mieliśmy wynajęty pokój i tam zostało. Tutaj... Podchodzi do szafy, pierwsza rzecz to zaraz maszeruje do szafy, otwiera, zapala zapałkę. „O, skolko knih!” [ros. jak dużo książek]. „Ile książek!”. A tam do połowy wysokości nałożone było, nie było ubrań, tylko były tak jedne na drugiej leżały książki. Był zaskoczony. No nie wzięli już wtedy prawie nic, bo prawie nic nie było. Mama zresztą jakieś wartościowsze rzeczy albo jedzenie, to na noc wynosiła do ogródka, zakopywała tam w ogródku, żeby... Tak nas dwa razy odwiedzili. I tego 29 czerwca myśmy byli w tym mieszkaniu, w tym pokoju wynajętym w Rakowie. Był ojciec, mama, siostra i ja. No wiadomo, idą Rosjanie, jak nas, jak tu dojdą, to znowu będą wywozić gdzieś, nie wiadomo dokąd. No to podejmujemy wspólnie decyzję, że ja, i już jest wiadomość, że oddział partyzantów, który jest, ta kompania, która jest w Rakowie, już się wycofuje i że oddział będzie się wycofywał. No to ja się wycofam razem z nimi. No dobrze. Ojciec dał mi te swoje

spodnie mundurowe, dał mi buty z cholewami, dał mi zegarek. Ja tą swoją bluzę założyłem. Mama dała mi woreczek – pół bochenka chleba, trochę boczku, mydło, ręcznik, jakieś tam jeszcze coś. Aha, taki niewielki, niewielki taki kocyk. I wzięłem jeszcze zimową kurtkę. Taką miałem watowaną, granatową wprawdzie, ale... Nie miałem tylko czapki, bo czapkę taką wojskową wiatrówkę zabrali mi wcześniej, poprzednia grupa, jak była, spod łóżka wyciągnęła, zapalili zapałkę, w nocy potrafili znaleźć taki drobiazg. Potrafili. No i dołączyłem do oddziału. Ponieważ miałem ładny mundur, to mnie kawalerzyści przytulili. Dali mi konia, usiadłem. Od razu spadłem z konia, bo nie umiałem konno jeździć, a jeszcze bez siodła. Ale dali mi jakieś fragmenty. Łęk siodła, strzemiona, popręg, trochę filcu, który trzeba było podbić pod ten łęk, bo to przecież deska była. I trochę materiału jakiegoś lnianego na wierzch. Skóry nie było. A jakoś zrobiłem to siodło, wsiałem i już było dobrze. Dostałem karabin, torebkę 100 sztuk amunicji i dodatkowo dostałem jeszcze raketnicę i rakiety. I obowiązek, że ja będę zawsze przy dowódcy plutonu jeździł, w razie czego, żeby on miał raketnicę do dyspozycji. No, i tak się stało. Przewędrowałem cały szlak. Nie pamiętam którego, tam dwa czy trzy dni po wyruszeniu oddział wpadł do jakiejś wsi, gdzie byli Niemcy. Niemcy czy Rosjanie tacy z Niemcami walczący. Wieś Proście koło Połoneczki. Zabili wtedy chyba 3 naszych, kilkunastu ranili. No ranili, no trudno. Zresztą potem, jak się dowiedziałem od oficera, który był odpowiedzialny za rozpoznanie terenu, jak żeśmy maszerowali, to oni pierwsi wchodziłi, sprawdzali. No, ale podobno mój szwadron nie czekał na to rozpoznanie, tylko wjechał i dlatego został ostrzelany. No, ale później już jechaliśmy. Wszystko było fajnie, dobrze. Niemen mostem, następne rzeki przez mosty przechodziliśmy. Koło Słonimia zatrzymaliśmy się na jeden dzień dłużej nad rzeką Szczara. Piękna rzeka, czysta woda. Piękna łąka obok, słońeczko świeci, piękny dzień. No to co? Trzeba się wykąpać. No a przy okazji to już jest siódmy czy tam dziewiąty dzień podróży. No trzeba uprać koszulę. No, jest okazja, jest piękna, czysta woda. Mam mydło, tego, upiorę koszulę. No i uprałem, położyłem na słońcu, przedziutko wyschła. Fajrant. Następnego dnia patrzę, a ja mam w koszuli i w ubraniu w ogóle pełno wszy, których do tej pory nie miałem. Czyli to pranie przysłużyło mi się, tak, że powiedziałem: „Więcej w podobnej sytuacji nigdy nie upiorę koszuli, będę chodził w brudnej”. I te wszy miałem do samego końca, aż do momentu, kiedy trafiłem do niemieckiego więzienia. Już w styczniu następnego roku to było. To było na początku lipca 1944 roku, a na początku stycznia 1945 roku trafiłem do więzienia niemieckiego, gdzie kazali nam się umyć w zimnej wodzie, ale całe, wszystkie ubranie, wszystko zabrali i wyparowali. I tam się skończyło z wszami. Nie było już więcej. To był zmotoryzowany łupież, który nam wciąż dokuczał i nie pomagało ani prasowanie, ani zalewanie naftą. Mieliśmy poparzone tutaj ciało, a one żyły. No ale wtedy się w końcu skończyło. No i maszerowaliśmy, maszerowaliśmy. To było takie nieprzyjemne zdarzenie w czasie tego marszu. Później któregoś dnia przejeżdżaliśmy nad wieczorem, były różne uprawy. Były ziemniaki, było zboże, było tam jeszcze coś, jakiś łubin. Jak to pięknie pachniało. To była rozkosz. Przejechaliśmy kawatek, no skończyło się. Ale to wieczorem tak było, bo w dzień rozgrzane wszystko. Potem były te zapachy takie. Jak zmieniała się uprawa, zmieniał się zapach. A któregoś dnia była straszna ulewa po południu. Jedziemy, leje, ale to okropnie, ale taki ciepły, ten deszcz był tak ciepły, że nie był dokuczliwy jednocześnie. No jedziemy sobie, jedziemy. Dojeżdżamy do wsi, wchodzimy do chatupy. No w chatupie zdejmuję buty. Okazuje się, że but z cholewami jest pełen wody. A ja jechałem konno, nie brodziłem po wodzie, tylko ja miałem krótką kurtkę, więc to wszystko spływało do butów. I tak sobie wędrowaliśmy bodajże do połowy lipca. Stanęliśmy nad Bugiem w miejscowości, która opisana jest jako... W literaturze opisana... Nie pamiętam. Ale ja tak optycznie oglądając to, to łączę to z miejscowością Granne. Ten zjazd do Bugu i przejście tym brodem. No skończyło się wszystko bardzo fajnie. Przeszliśmy. Kawaleria nie ma problemu z przechodzeniem brodem. Ja mam suche nogi. A piechota też jakoś tam na wozach przejechała. Piechocie

to ja tylko współczułem, że jak jechaliśmy polnymi drogami, a nawet czasem bezdrożami, było sucho, było pełno kurzu, to mieli zapalenie spojówek. Wszyscy mieli z oczami kłopoty, bo ten kurz taki z drobnego piasku był. Niedobre to było. Przyjechaliśmy do miejscowości Dzierzby. Tam były dwie miejscowości obok siebie: Dzierzby Szlacheckie i Dzierzby Włościańskie. Następnego dnia była niedziela. To był chyba 15 albo 16 lipiec. Wojsko zebrało się na placu dużym po mszy. Porucznik „Góra” mówi: „Z tym momentem kończymy to niepisane porozumienie z Niemcami o zawieszeniu broni i od tej chwili otwarcie walczymy z Niemcami”. Do wsi podjeżdża samochód, jakichś tam 2 czy 3 oficerów. Oczywiście zostali zabici. Z nami jechało, jechała grupa, nie wiem, jak liczna, policji białoruskiej z Rakowa i jechało 3 żandarmów niemieckich. Byli podtrzymywani na duchu, samogonem wciąż byli podlewani. Jechali bryczką na początku, dalej za nimi jechała ta grupa policji białoruskiej w mundurach czarnych. Oni mieli czarne mundury. To w jakiś sposób uprawdopodobniało nas, że my jedziemy tu, że z Niemcami nie walczymy, że jedziemy sobie spokojnie. I cały czas było nastawienie, że my mamy trafić w kieleckie. Ale kiedy byliśmy już za Bugiem, to tam w okolicy Sokołowa Podlaskiego miejscowa konspiracja powiedziała, że już gdzieś między... około Mińska Mazowieckiego pokazały się już sowieckie jakieś oddziały. W związku z tym nie wskazane jest jechanie w kierunku Góry Kalwarii, którą mieliśmy przejść, bo możemy trafić na Sowietów. A my broń Boże, żeby się z nimi nie spotkać. Szczęśliwie tak się ułożyło, że oni maszerowali od Mińska Litewskiego w stronę Brześcia jedna grupa, a druga na Wilno poszła. I dalej potem na Prusy Wschodnie. A myśmy tak między nimi szli. Jak szosą jechali Niemcy, uciekający Niemcy, czy pociąg jakiś jechał przez tory, to myśmy czekali. Jak oni przeszli, to myśmy ruszali. Po tym, jak się nawet jakiś tam oddziałek niemiecki pojawił, to czekał, bo widział, że to jest duży oddział, bali się zaatakować nas. Tam gdzieś koło Sokołowa Podlaskiego, gdzieś tam w tej okolicy, kiedyś jakiś posterunek niemieckiej policji zatrzymał kilku naszych. Następnego dnia rano pojechali nasi, powiedzieli: „Wypuścić”. Wypuścili. Dali jeszcze trochę medykamentów jakichś. Tak. Oni się bali też. Zobaczyli, że to jest duży oddział. Przecież to oddział miał... 861 było w ewidencji w połowie czerwca 1944 roku we wsiach koło Iwienicy. Ale w momencie, kiedy oddział się wycofywał, to do niego dołączyło około 100 młodych ludzi z Rakowa, Iwienicy i okolicy. Tak że tam było grubo ponad 900 żołnierzy. Później koło Słonima dołączyło około 20 jeszcze. Tak że było nas sporo. No, ale tutaj kierownictwo oddziału, por. „Góra” jest przed problemem: Jak przejść za Wisłę? Góra Kalwaria spalona. Najbliższy dostępny most jest koło Nowego Dworu Mazowieckiego. Jeżeli nie przejdziemy przez Wisłę, to co z oddziałem? To trzeba by go rozwiązać, jakoś pomicinować. Ale taki duży oddział – jak go schować? Ryzykujemy. Idziemy przez most, przez Nowy Dwór Mazowiecki. No i jeszcze parę dni żeśmy maszerowali. 25 lipca znaleźliśmy się koło Nowego Dworu. I od strony południowej weszliśmy do miasta. Przeszliśmy główną ulicą do drogi, która prowadziła z Modlina do mostu na Wiśle. Do drogowego mostu, bo tam są dwa mosty – drogowy i kolejowy. No ale tą drogą maszerują jakieś oddziały niemieckie. No więc stoimy, czekamy. „Dolina” tak uszykował oddziały, żeby te najważniejsze, najbitniejsze były na początku. Karabiny maszynowe przede wszystkim na taczankach, tak, dalej piechota, kawaleria została z tyłu. Pamiętam, że dostaliśmy rozkaz: „Ładuj broń, ale broń Boże nie strzelić”. „Broń Boże nie strzelić”. No to, i czekamy. Stoimy, czekamy. Pogaduszki. Może będzie szarża kawalerii, może coś takiego. Jak to będzie? Jak szarżować, jak się nie ma szabli ani dzidy, jakiejs piki? Czekamy. W końcu ruszyliśmy. No tam Niemcy przestali, ten oddział niemiecki się skończył. Nasz ruszył, przejechał tam ok. 500 metrów do mostu, a przy moście znowu żandarmi stoją i nie wolno. Trzeba mieć dowód jakiś, rozpiszę, że możemy przejechać. Tłumaczą nam nasi, że musimy, że tam coś to... Zadzwonili do Twierdzy Modlin. Tam trafili na komendanta oddziałów rozproszonych Twierdzy Modlin, na pułkownika von Bibera. Ja zresztą nazwisko jego i jego adiutanta Convaldana znam, bo po wojnie pracę magisterską na ten temat robił Tomasz Karwat.

I on korzystał z niemieckiej dokumentacji. I to znaleźliśmy, te nazwiska w niemieckiej dokumentacji. Przyjechał płk von Biber i jego adiutent Valdlon. Miał jakieś tam imię, zapomniałem. I jednocześnie z nimi przyjechało parę samochodów pancernych. Obstawili od razu tam od strony mostu, obstawili wszystko i zaczynają się rozmowy. Z naszej strony por. „Góra” wyznaczył dobrze mówiącego po niemiecku por. Rybkę, pseudonim „Kula” i starszego wachmistrza czy chorążego Stefana Andrzejewskiego. Stefan Andrzejewski urodził się w roku 1899, a więc to był człowiek, który miał lat 45. Jednym z najstarszych w naszym oddziale. To był poznaniak i znał doskonale niemiecki. Zaczynają rozmawiać i też tłumaczenie, że tam zza Smoleńska tutaj wędrujemy, że tam walczyliśmy z Sowietami, że teraz nie ma tutaj, konie nie mają co jeść, bo tu wypasiona trawa. Tak jakoś to... Nie wychodziło to tak wiarygodnie. Nie mogli jakoś się przekonać do tego. Ale w pewnym momencie Andrzejewski zwraca się do pułkownika: „Panie pułkowniku, czy ja mogę porozmawiać, zamienić parę słów z panem Valdaniem, majorem Valdaniem?” Jasper Valdana. „No dobrze, porozmawiajcie”. No i ten tłumaczy: „Panie majorze, czy przypomina pan sobie, że razem byliśmy w Armii Niemieckiej we Francji w roku 1916? Tam walczyliśmy, we Francji. Dowódcą naszym był ten i ten, a ten i ten był dowódcą takiej kompanii, a ten był ranny, a ten zginął w ogóle, i tak...” I temu się otwierają oczy. „No, rzeczywiście tak było”. I to było chyba tym momentem takim przełomowym dla nawiązania zaufania. I zaczynają inaczej rozmawiać już ci Niemcy. „A co wy... Jakoś tam tego...”. „No mamy kłopoty z wyżywieniem koni”. No to pisze rozpiszę, dokument pisze – ileś tam, parę ton owsa, ileś tam puszek konserw dla żołnierzy, ileś tam amunicji, materiały opatrunkowe. Powiada: „To sobie pobierzcie z magazynów Twierdzy Modlin. A dzisiaj, jak pojedziecie już tam, to zakwaterujecie w Dziekanowie Polskim. – Po drugiej stronie. – Tak. Wycofał samochody pancerne i jedziemy. No i pojechaliśmy. Stała się rzecz niemożliwa: Przejście przez most całym oddziałem bez walki.